№ 43. Warszawa, dnia 12 (24) Października 1889 r. Rok XXV

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**
EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGAWĘDKA.

Zebrało się w tych czasach kilka jubileszów w dziedzinie wydawniczej i literackiej. „Tygodnik illustrowany“ obchodził swoje trzydziestolecie; dla zasłużonego autora „Bibliografii polskiej“ Karola Estreichera wybito medal w hołdzie i podzięce za pomnikowe dzieło naszej literatury; wreszcie Karol Kucz, dziennikarz i redaktor skończył pięćdziesiąt lat pisarskiego zawodu.

Po kolei wypada o każdym jubilacie powiedzieć słów kilka.

O „Tygodniku illustrowanym“ powiedzieli obszernie jego dawniejsi i nowsi współpracownicy w osobnym numerze, który redakcya w rocznicę trzydziestą urodzin tego nestora naszej prassy obrazkowej wydała.

Z zestawienia dwóch lat, dwóch epok, pomiędzy któremi minęło przeszło ćwierć stulecia, okazał się znaczny postęp, znaczny rozwój w tym rodzaju wydawnictw peryodycznych, którym „Tygodnik illustrowany“ swojego czasu dał początek.

Kiedy nieboszczyk Józef Unger, wyborny typ wydawcy na większą skalę i jeden z ludzi kwalifikujących się do dzieła Smiles'a o samopomocy, powziął myśl stworzenia polskiej illustracyi na wzór europejski, a przezacny Ludwik Jenike *senior* redaktorów naszych, myśl tę wcielił w pismo i skierował na drogę praktyczną, przedsięwzięcie wydawało się niemal zuchwałem.

Zasłużona i znana firma Gebethnera i Wolffa nabyła przed kilku laty „Tygodnik illustrowany“ na własność i jej przypadło obchodzić teraz uroczyście jubileusz pisma, z którego założycieli pozostał tylko przy życiu sędziwy jego kierownik przez lat dwadzieścia kilka, Jenike, a z najpierwszych współpracowników redakcyjnych Kazimierz Kaszewski i Stronczyński.

Najwytrwalszym pomocnikiem głównego redaktora, długoletnim kronikarzem i sekretarzem pisma był St. M. Rzętkowski, utalentowany autor „Livii Quintilli“, który następnie objął literackie kierownictwo „Życia“.

Do wielu zasług „Tygodnika illustrowanego“ zaliczyć trzeba i tę, że on nietylko pierwszy rozpoczął u nas epokę artystycznych wydawnictw, ale dawał początkowanie całej niemal prassie obrazkowej; przy jego boku urodził się „Wędrowiec“ i „Biesiada literacka“, z jego sąsiedztwa wyleciała „Mucha“ humorystyczna, jego przykład zachęcił do wydawania „Kłosów“, krótkiej lecz dobrej pamięci „Wieńca“ i odradzanego kilkakrotnie „Tygodnika powszechnego“. Illustratorstwo i drzeworytnictwo polskie, mogące dzisiaj ubiegać się o palmy nagrody z temi sztukami zagranicą, pomimo nieszczególnych u nas warunków bytu i rozwoju, znalazło dopiero w „Tygodniku“ grunt i oparcie dla siebie; tu się zaszczepiało, rosło i z wątłej płonki wybujało wysoko.

Zadanie i charakter naszych pism illustrowanych od samego początku były inne, niż prassy podobnej we Francyi, Anglii, Hiszpanii, lub we Włoszech; tam część artystyczna główną rolę odgrywa, rycina więcej znaczy i wyższą ma wartość od artykułu, ołówek i rylec górują nad piórem.

U nas strona literacka podobnych wydawnictw ma z konieczności poważniejsze znaczenie, dlatego, że większa część pisarskiej twórczości jedynie przez pisma peryodyczne dla siebie głównego ujścia szukać musi; tygodniki są niejako książkami wydawanemi na raty, są jakby zeszytowem wydawnictwem literatury bieżącej, podczas, gdy zagranicą w pomyślniejszych warunkach wszystkie poważniejsze prace literackie, studya, rozbiory, materyały, krytyki nie potrzebują szukać wpierw gościnności i pomieszczenia w łamach prassy peryodycznej, ukazują się odrazu w odrębnej, książkowej formie i rozchodzą w tysiącach exemplarzy.

Tosamo dzieje się z belletrystyką.

U nas każda powieść, każdy zbiór nowel jest właściwie odbitką lub przedrukiem z felietonu pism codziennych, lub z łamów tygodnika; inaczej niepodobna zbyć swej pracy wydawcom, którzy nie mogą płacić tak znacznych honoraryów autorom, aby to dało im wynagrodzenie od wiersza w pismach bieżących z dodatkiem wynagrodzenia za osobne odbicie.

Do liczby wyjątków należą powtórne edycye książek, które rozeszły się w jednym lub w dwóch tysiącach exemplarzy. Kraszewski z dawniejszych, Sienkiewicz i Orzeszkowa z nowszych autorów poszczycić się mogą jedynie podwójnemi i potrójnemi wydaniami; reszta uważa sobie za szczęście, jeżeli jednorazowy nakład się wyczerpie w ciągu lat kilku.

Felietony pism codziennych, poważniejsze tygodniki i miesięczniki są przeto głównymi dostawcami i pośrednikami twórczości literackiej w stosunku do publiczności czytającej.

Prassa pochłania ten produkt talentów i umysłowej pracy z pierwszej ręki, a potem dopiero wyłania go w zmienionej formie książkowej, bez której mnóztwo prawdziwie cennych rzeczy wsiąkło w drukarską bibułę tak, że nawet bibliografia ich nie wyłowiła.

Wszędzie indziej historyk literatury i krytyk ma cały potrzebny do oceny materyał wyodrębniony osobno, ma ułatwiony pogląd dzieł, zbiorowych wydań, broszur i t. d U nas musi przerzucać biblioteki i z zapylonych roczników pism peryodycznych wyszukiwać często najważniejsze dokumenta twórczości i studyów literackich.

Ileż takiego materyału zapomnianego, pominiętego w swoim czasie, butwieje w całych stosach naszych tygodników illustrowanych i nieillustro-

wanych, w poważnych miesięcznikach, jak „Biblioteka warszawska“, „Ateneum“, „Niwa“, i t. p.

Wszystkie te wydawnictwa ulegają fatalności pism peryodycznych: związane są najczęściej z chwilą bieżącą, starzeją się po tygodniu, po miesiącu, po roku i najniesłuszniej są potem lekceważone, spychane przez każdy świeży numer lub zeszyt.

Najlichsza książka, dzięki swej odrębności, swej własnej formie, kursuje swobodnie lata całe, lat całe dziesiątki, z ręki do ręki, przypomina się dwóm, trzem pokoleniom, podczas gdy rocznik najpoważniejszego pisma schodzi z czasem na makulaturę przez przesąd, że się zestarzał, skoro swą chwilę przeżył, jako dziennikarska efemeryda; nie zagląda się więcej do niego, chyba dla pokazania dzieciom obrazków, jeżeli był illustrowanym.

Lekturą przestaje być po pewnym krótkim przeciągu czasu, a jak niesłusznie bywa lekceważonym,—przekonać się można z miny antykwaryusza, który najlepsze komplety miesięczników lub tygodników zaledwie na wagę samej bibuły nabywa.

— Co to potem? — powiada — tego nikt nie czyta.

I ma słuszność; taka jest siła uprzedzenia do wydawnictw peryodycznych po minionym terminie ich pozornej aktualności, że się zapoznaje u krytą wartość utopionej w nich pracy.

Jak wieloryb mniejsze ryby, tak rocznik połyka książki i trawi je w sobie; ale niestety, inaczej być nie może w naszych warunkach, dopóki czytelnictwo u nas nie wzrośnie i nie rozszerzy się do takich rozmiarów, aby wydawcy ryzykować mogli osobne edycye wszystkich prac literackich, godnych druku i rozpowszechnienia, a autorowie nie potrzebowali się oglądać jedynie na honorarya od wiersza i na zbyt swoich utworów po redakcyach.

Bibliografia tym wszystkim skazanym na zagładę pracom mogłaby oddać wielką usługę, wydobywając w osobnym inwentarzu chociaż ich tytuły, jak to zrobiono w spisie artykułów niektórych pism peryodycznych.

Uratowano chociaż jednę część z otchłani niepamięci, ale ile jeszcze w niej pozostało!

Przydałoby się nam kilku jeszcze w tym celu Estreicherów, którzyby poszli wydeptanemi śladami dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej i jego olbrzymią pracę uzupełniać zechcieli.

W dniu 4-go Listopada r. b. zasłużonemu bibliografowi zostanie uroczyście wręczony medal, kosztem ziomków wybity na jego cześć, za pomnikowe dzieło, którego dokonał, wydając od lat dziewiętnastu uporządkowany spis wszystkich druków polskich w ciągu czterech stuleci.

W tym inwentarzu literatury naszej zebrał się najwymowniejszy, liczbami poparty dowód jej żywotności, rozrostu, obszaru, ciągłości cywilizacyjnsj myśli, która w drukowanem słowie się objawiła od lat z górą czterystu.

Wielka to, niespożyta zasługa Karola Estreichera, że taką olbrzymią pracę wziął na swe barki i nie ugiął się pod jej ogromem, tembardziej, że jął się tego w poważniejszej, obywatelskiej myśli.

Nie chodziło mu o ułożenie księgarskiego katalogu, o prosty skorowidz tej ogólnej książnicy, w ktorej geniusz twórczy i geniusz pracy składał przez cztery wieki „swych myśli przędzę i swych uczuć kwiaty“ i zapisywał się na luźnych kartach taksamo, jak w grubych foliałach drukowanych; nie, chodziło mu o coś ważniejszego, o dokumenta poświadczające polskiego piśmiennictwa krzepkość i dawność, bogactwo i obfitość, o jego samodzielne prawa i odrębność w porównaniu z innemi współczesnemi mu piśmienictwami oświeconej Europy.

Tego dowodu szukał i dowód ten znalazł, a w swojej „Bibliografii polskiej“ odparł wszystkie zarzuty lekkomyślne, czy tendencyjne przeciw naszemu rozwojowi umysłowemu i literackiemu stawiane przez obcych i zawistnych.

Olbrzymie podwaliny dzieła, narastającego nieustannie, zbudowane i ułożone zostały rękoma Estreichera; słusznie mu się też publiczny hołd za taką pracę należał, choćby ta praca, jako dzieło rąk ludzkich, nie była idealnie we wszystkiem doskonałą.

Połowę życia niemal poświęcił on gromadzeniu materyałów, korzystając z zaczątku swych poprzedników na ugorze bibliografii polskiej; zastał zaledwie pierwsze bruzdy na tem polu zorane, a zejdzie z niego z chlubą, że uprawił cały grunt i plony na nim zebrał nadspodziewane.

Medal, artystycznie wykonany, z jednej strony nosi wizerunek Estreichera, z drugiej lapidarny napis, upamiętniający zasługi znakomitego biblografa.

Deputacya wręczy go jubilatowi w pudełku, wyobrażającem starą księgę, misternie rzeźbioną.

W dziennikarstwie warszawskiem jeden z najstarszych w niem pracowników, Karol Kucz, skończył bieżącego roku pięćdziesiąt lat pisarskiego zawodu; przed laty czterdziestu był on już redaktorem *Kuryera Warszawskiego* do roku 1863-go, w trzy lata później założył *Kuryera Codziennego*, z którego ustąpił młodszym następcom, cofnąwszy się w zacisze domowe z widowni publicznej.

Swojego czasu, w epoce mniejszych wymogań od prassy codziennej, na niższym poziomie dziennikarstwa warszawskiego, Kucz na „kuryerowym“ wózku był osobistością bardzo wpływową i wydatną, umiał zyskiwać pismu poczytność a sobie popularność, pisał wiele, rymował, improwizował, był typem ruchliwego dziennikarza i redaktora, zasilał scenę oryginalnemi i tłómaczonemi utworami, żył w szerokich kołach towarzyskich i bieżącą chwilę w „Kuryerku“ zręcznie odbijał, niby w lusterku, w którym codziennie przeglądała się ówczesna Warszawa.

Postanowiono odpowiednio odznaczyć to pięćdziesięciolecie dziennikarza i redaktora starej daty, a komitet złożony z pp. Pietkiewicza (Pługa), Plebańskiego, J. M. Kamińskiego, Heppena, Feista i niżej podpisanego ma się zająć obmyśleniem najwłaściwszego sposobu uczczenia jubileuszu Kucza.

Na razie z bieżących kwestyi, godniejszych zaznaczenia, nie mam nic tak ważnego w moich kronikarskich notatkach; chybabym „kwestyą“ nazwał sprawę damskich... kapeluszy w teatrze, którym wypowiedziała wojnę autorka 365-ciu obiadów w „Kuryerze Warszawskim“.

Dzisiejsza moda, trzymając się racyonalnych względów, stara się usilnie powiększać jak najbardziej głowę kobiecą, nie troszcząc się wcale o serce, które nigdy do zewnętrznych wydatnych części nie należało.

To powiększenie głowy symbolicznie uskutecznia się zapomocą nadmiernej wielkości kapeluszy piętrzonych w górę, lub rozszerzających się na boki z przydatkiem mnóztwa piór lub pasmanteryi.

Był czas, kiedy kapryśna wyrocznia gustu, tę wybujałość formy umieszczała gdzieindziej, postępując od krynoliny i turniury coraz wyżej; kiedy dawniej kobietę czyniła podobną do piramidy na jaknajszerszej podstawie, dzisiaj każe jej dla szyku zbliżać się w konturach swoich do przewróconego stożka czy też ostrosłupa.

Nigdzie to wszelako tak bardzo w oczy nie bije i nie przeszkadza, jak właśnie w teatrze, gdzie ofiarą mody padają widzowie, zabarykadowani damskiemi kapeluszami potwornych kształtów i rozmiarów. W ich obronie i interessie pani Lucyna właśnie podniosła głos, domagając się oddawna zalecanej reformy.

— Chodźcie panie z gołą głową do krzeseł — powiada — albo nie chodźcie wcale, jeżeli wam wasz kapelusz milszy od sztuki i przyzwoitości sąsiedzkiej.

Nieprzyzwoitością jest bowiem zasłaniać komuś widok na scenę, jeżeli zwłaszcza to prawo widoku drogo opłacił i nie ma wcale ochoty podziwiać za swoje pieniądze arcydzieła modniarki, zamiast arcydzieła Szekspira lub Rasyna.

Wszystko to dobrze, ale co zrobić z za dużą głową, która stanowi przedmiot sporny w danej kwestyi modno-teatralnej; z sercem byłby mniejszy kłopot: oddałoby się go sąsiadowi z prawej lub lewej strony na wieczne lub czasowe przechowanie, lecz z integralną częścią głowy zadanie niemożliwe w ten sposób do rozwiązania.

Ów fatalny kapelusz trudno trzymać przez cały wieczór w ręku, lub obarczać nim usłużnego towarzysza; należałoby, jak w teatrach zagranicznych, obmyślić dla niego miejsce na przechowanie w garderobie, albo gdziekolwiek.

Przy projektowanej przebudowie Wielkiego Teatru może ta kwestya da się rozwiązać na drodze... konkursowej; jest to droga u nas najmodniejsza, chociaż rzadkokiedy wiodąca do celu.

Zdaje mi się, że sprawę najpraktyczniej rozstrzygną nasze modniarki, które zamierzają podobno wyrabiać specyalne kapelusze do teatralnego użytku dla dam, nie chcących się pozbywać jakiegokolwiek nakrycia głowy.

Inną kwestyą nie dotyczącą mody, ale złego zwyczaju scenicznego, poruszył kollega Karol w „Kłosach“, pisząc o nadużywaniu oklasków i sztucznych owacyi w teatrze.

„Ostatniemi czasy — pisze on — szafarstwo laurów teatralnych tak nie umie oddzielać talentów od talencików i miernostek, że dla artystów, szanujących godność swoję, oklaski straciły bardzo wiele dawnego znaczenia; dlatego też warto wprowadzić zwyczaj, praktykowany w Burgu i na innych pierwszorzędnych scenach dramatycznych, gdzie artyści wcale nie wychodzą na oklaski, nawet po akcie, ma się rozumieć, tém bardziej po scenach, co nie przeszkadza jednak publiczności słuchać z zajęciem i w danej chwili objawiać żywego zadowolenia. A jakże na tem zyskuje złudzenie artystyczne i powaga przedstawienia!.. Warto dla niej poświęcić próżność wykonawców, jak w ogóle warto złożyć małe ambicyjki na ołtarzu wielkich celów“.

Powtórzyłem umyślnie cały ten ustęp w dosłownem brzmieniu, gdyż nabiera on owiele więcej wagi pod piórem autora, który łącząc dwa pokrewne zawody, wygłasza śmiało przekonanie godne artysty, miłującego wyżej sztukę, niż własne ambicye.

Czy wszelako zasady jego podzielą inni artyści — pozwalam sobie wątpić; próżność jest jedną z najbardziej zakorzenionych wad talentu dzisiejszego pokolenia na scenie, jednym z najgłówniejszych bodźców jego.

Dla tej próżności robi się jedyne poświęcenia, dla niej częściej, niż z zamiłowania sztuki, wchodzi się na deski sceniczne i poświęca dramatycznemu zawodowi.

Bez tych oklasków, wywoływań, owacyjek, bukietów, koszów z kwiatami, reklamek i t. d. nie widzianoby uroku ani w zawodzie artystycznym, ani w grze, ani w sztuce.

Próbowano już przecież niejednokrotnie przemówić do szlachetniejszych ambicyi naszych artystek i artystów, próbowano skłonić ich do zrzeczenia się tylko podczas aktu zbierania na gorąco oklasków, sypanych głównie przez łatwo zapalny paradyz, próbowano nawet dawać dobry przykład w tym kierunku i nie wychodzić na przywoływania podczas sceny,—no, i jak długo to trwało?.. jakieś nie całe dwa tygodnie.

Co prawda, nie widziałem w cywilizowanym świecie niesforniejszej publiczności, niż bywa często publiczność warszawska — źle mówię: pewna część tej publiczności — ta, która dlatego chyba, że na bantach siaduje, ma coś koguciego w sobie, pieje, krzyczy, drze się do pęknięcia gardła po każdej sztuce, w której chce wyróżnić faworyta swojego, a częściej faworytkę.

Oklaskami i przywoływaniem terroryzuje artystów, a nieznośną i nieprzyzwoitą jest wtedy, gdy się domaga bisowania. Za swoje trzy grosze chciałaby wyzyskać sztukę, artyzm, talent do samego dna; zamęczyłaby deklamatora, śpiewaka, pianistę lub skrzypka, byle dogodzić swej... pożądliwości wrażeń.

Umie i lubi napierać się o naddatki, jak źle wychowane dziecko o łakocie.

Nasi artyści są już do tego przyzwyczajeni, ale zagraniczni bardzo często wyrażają swoje zdziwienie z powodu tego natręctwa.

Sezon koncertowy rozpoczął się wieczorami Towarzystwa Muzycznego, wizytą czeskiego skrzyp-

ka Ondrziczka i wystąpieniem wypoczętej „Lutni“ po wakacyach.

Ondrziczek należy dziś do rzędu znakomitych wirtuozów, technikę posiada świetną, godzien jest słuchania i podziwu, ale trafił w złą porę.

Paganini znad Weltawy grać musiał na własnym koncercie przed pustemi ławkami.

Więcej słuchaczy ściągnęła sympatyczna Lutnia, chociaż i ona nie miała tego audytoryum, co dawniej, kiedy to łamano sobie niemal żebra, aby zdobyć miejsce w sali.

Warszawa jest kapryśną wielbicielką i protektorką; nie można zbyt długo liczyć na jej stałe względy, trzeba umieć zajmować ją nowościami, przyciągać coraz nowszemi wabikami, często zmienianym programem, bo inaczej ostyga szybko w zapale.

Wyjątkowym faworem publiczności cieszy się teraz pani Zimajerowa; operetka zatryumfowała, dzięki swej primadonnie, nad operą, teatr zapełnia się zawsze jeszcze tłumami na występach artystki, która nie traci uroku i siły przyciągającej w charakterze scenicznego gościa. Czy ten urok nie zniknie, gdy Teatr Mały pozyska znów p. Zimajerową na stałe — trudno przewidzieć.

W balecie powiewna p. Giuri zachwyca wielbicieli lekkich skoków, pięknych kształtów i krótkich spódniczek i—rzecz bardzo rzadka w ostatnich czasach od pobytu p. Zucchi — teatr bywa zapełniany na widowiskach baletowych.

Na koniec bieżącego miesiąca zapowiadają nam wizytę słynnej Lucca, która zdecydowała się nareszcie na starość zaśpiewać w Warszawie po występach w Łodzi; rodzinne miasto Mierzwińskiego nie budziło w głośnej primadonnie dotychczas zaufania.

Z literatury bieżącej mogę na zakończenie nadmienić tylko kilkoma słowy o sporej wiązance wydawnictw, które na jesienne wieczory przyniosły czytelnikom dwie najruchliwsze obecnie firmy nakładowe w Warszawie, Gebethnera i Wolffa i Teodora Paprockiego i Sp.

Pierwsza wydała poważny i nader pożądany podręcznik naukowy do „Historyi nowożytnej“ Tadeusza Korzona, tom 1-szy, niezmiernie zajmujące dzieło Maxa Simon'a o „Świecie snów“ w tłómaczeniu J. K. Potockiego i bardzo potrzebną książkę Bema: „Jak mówić po polsku?“ stanowiącą składową część Biblioteki dla samouków, w której wychodzi obecnie również użyteczny podręcznik W. Korotyńskiego: „Jak pisać po polsku?“

Same tytuły mówią o ważności przedmiotu i treści.

Wydawnictwa ruchliwiej księgarni T. Paprockiego są i liczne, i urozmaicone. Oto np. powieściowym niemal stylem napisana astronomia Wilhelma Meyera p. t. „W państwie gwiazd“, albo ze wszech miar zajmujące dzieło angielskiej autorki: „Świat kobiety“ w przekładzie Waleryi Marenné, dalej wszechstronny podręcznik sportowy p. t. „Zdrowa dusza w zdrowem ciele“, wreszcie słynne dzieło A. Schroot'a, popularyzujące w sposób nader przystępny hygienę p. t. „Życie i zdrowie człowieka“ w tłómaczeniu dr. Fabiana.

Z działu belletrystyki tażsama firma wydała zbiory nowel Maryi Rodziewiczówny i Gabryeli Zapolskiej w nader ujmującej szacie książkowej, a prawdziwą przysługę naszej literaturze dziecinnej uczyniła wydaniem ślicznego dziełka Amicisa (*Il cuore*) p. t. „Pamiętnik chłopca.“

Jest to nabytek niepospolity, którym zarówno dziatwa, jak i starsi rozkoszować się mogą. Dziwnie ujmująca forma z poważną treścią i pedagogiczną myślą, wyróżnia tę książkę dobrą i pożyteczną, ze wszystkich dotychczasowych wydawnictw dla małego pokolenia.

Żeby to u nas znalazł się taki pisarz i taki talent dla naszych dzieci.

Quis.

ADJUTANT KRÓLA JEGOMOŚCI.

OPOWIADANIE Z DRUGIEJ POŁOWY ZESZŁEGO STULECIA

napisał

Mieczysław Krzywosąd-Kępieński.

(Dalszy ciąg).

— To tam, za krzakami, panie pułkowniku — odezwał się młodszy, w którym poznajemy Pietrka.

— A pewnie? — ozwał się pułkownik głosem, w którym czuć było drżenie i jakąś przytłumioną boleść.

— Ale pewniusieńko, jakbym teraz patrzył. Ot tam na lewo tego krzaku padł pan starościc, a obok tuż zaraz leży nasz podstolic, — tłómaczył Pietrek, pokazując ręką w kierunku, gdzie się odbywała walka między Malczewskim, Drużbicem i Gordonem.

— W konie!—krzyknął pułkownik — może jeszcze żyją. — I ruszyli cwałem, ale niedługo zwolnili biegu, bo konie, wzdrygając się, sadziły na bok przed kupami trupów. Jechali tedy stępo; wkrótce dopędził ich pojazd, idący teraz wolno pomiędzy pobitemi ciałami, po niezakrzepłej krwi, sączącej się rubinowemi po ziemi strugami. Konie, prychając, omijały trupy, ale koła wozu często wstępowały to na głowę ludzką, to na rękę albo piersi łamiąc je, druzgocąc z jakimś głuchym chrzęstem, a, przejechawszy ciało, spadały w czerwony potok krwi, która bluzgała zpod wozu pryskając na konie lub na powożącego, starego Ratułta.

Podstarości, aczkolwiek dawny konfederat dzikowski, przyzwyczajony do widoku trupów, zasłaniał teraz oczy przed tym piekielnym obrazem; pułkownikowi i Pietrkowi łzy błyszczały w oczach. Tak dociągnęli do owego rowu, a pozsiadawszy z koni, rozglądali się uważnie pomiędzy ciałami.

— Awo — zawołał Pietrek nareszcie — podstolic i starościc leżą.

Z bijącem sercem pochylił się Wielowiejski nad leżącym bez duszy swoim wychowańcem. Załamał rozpaczliwie ręce, a ze wzdętej od bólu piersi wyrwał się jęk urwany, suchy; twarz dotąd blada oblała się pąsem, ale dłoń pułkownika nie wzniosła się ku niebiosom, aby w kornej modlitwie użalić się Bogu, jeno chwyciła instynktownie szpadę, a usta, od wzruszenia drżące, wyszeptały namiętnie:

— Ha, zapłacisz mi za niego, panie Fryderyku!

Ratułt zeskoczył z wozu i przystąpił bliżej.

— Popatrz, mój stary — spokojnie przemówił pułkownik — czy żyw jeszcze?

— Głowa przerąbana, widzę — odparł smutno Ratułt,—a toż się doigrał! Ale to mi cięcie! Bodaj go zabito!

— Cóż więc poczniemy, poradź mój stary, bo ja głowę tracę.

— A cóż mamy począć? — złożyć na wozie i powieźć do domu.

— Wżdy żyw on jeszcze, — zawołał naraz Pietrek, — bo ciepły i czuć jak oddycha, takci i starościc, bo, a no jęknął i zwrócił się na bok.

— Wziąłeś latarkę, jakem ci przykazał?

— A ino, zaraz ją zaświecę.

— Dawaj ją tu prędzej! sam zasię skocz żywo po wodę.

Pietrek pobiegł zaczerpnąć wody z poblizkiego rowu, a kiedy pułkownik tymczasem przyświecał latarnią, Ratułt pochylił się nad Drużbicem i, obmacawszy go, rzekł z pewnością siebie:

— A no, żyw jeszcze; może co zaradzimy.

— Ratuj, Hieronimie, bo ja się na tem nie znam.

Wziął tedy Ratułt wody i począł naprzód pryskać na twarz, a później obmywać głowę Drużbicowi. Pułkownik i Piotrek patrzyli, jak w tęczę, w twarz podstolica.

— Szkoda, że niéma gorzałki — rzekł po chwili Ratułt.

— Dyć ją mam we flaszy, bośmy ją z panem wzięli na wyprawę.

— Dawaj ją sam! to najlepsze leki, a za się chleba znajdziesz gdzie kawałek?...

— Jest ci i chleb, bom go jeszcze w tych opałach i zjeść nie miał czasu.

Ratułt ukląkł, lejąc rannemu do nosa gorzałkę, co w owym czasie było zwyczajnym sposobem trzeźwienia. Jakoż niedługo westchnął ciężko Drużbic i widać otrzeźwiał, bo otworzył oczy, a rozglądając się do koła, zapytał przytomnych:

— Co ja tu robię? co się ze mną dzieje?

— Jesteś z nami, Jędrusiu— odrzekł troskliwie pułkownik — jesteś trochę ranny, chory.

Drużbic się zatchnął, wzniósł rękę i przetarł nią czoło, jakby zgarniał myśli.

— Leż-no jegomość spokojnie — przerwał niecierpliwie Ratułt — trza ranę opatrzyć.

— A czy ty dasz radę, mój Hieronimie poczciwy? — niespokojny pułkownik zapytał.

— Kto umie ranić, ten powinien umieć i ranę opatrzyć, a zadałem-ci ja ran tyle w mojem długiem życiu, żeby ich nie spisał i na wołowej skórze. Jeno od frasunku za swoim Józkiem ręce mi się trzęsą; ale dziej się wola Boża: przecież gwardyacy nie Tatarzy, ani dzicy ludzie, to mi nie zmarnią jedynej dzieciny. I ze łzą w oku, drżący od wzruszenia, wziął się nieszczęśliwy stary do opatrywania. Obmywszy ranę, zobaczył, że, chociaż głęboka, nie była niebezpieczną wcale, bo acz silne cięcie nadwerężyło czaszkę wyżej skroni, to przecież nie dotknęło mózgu. Jakoż, ugniótłszy ośródek chleba z gorzałką, ranę starannie zalepił, zasmarował wódką i, obwiązawszy głowę zmoczoną chustą — rzekł do Drużbica, trącając go w ramię:

— Nie lękaj się—panie podstolicu, da Bóg będziesz jeszcze nieraz na ostre wychodził, a pamiętaj wtenczas radę starego Ratułta: że najpierwej trza zasłaniać czerep, choćby on był taki twardy nawet, jaki Bóg dał jegomości.

Ale podstolic słów tych nie słyszał, bo kiedy go opuściła wrócona gorzałką przytomność, przyszła gorączka, w której począł majaczeć i bredzić niestworzone rzeczy. Z pomocą tedy pułkownika umieścił Pietrek Drużbica na wozie, kiedy poczciwy Ratułt obmacywał pana Malczewskiego, mówiąc do siebie po opatrzeniu rany:

— Bodaj go zabito! Toż musi być siłacz i rębacz nie lada! Co to za cięcie, co za cięcie! Nie wiedzieć które lepsze. Takiegoby nie zadał i nieboszczyk Tarło.

I rzeczywiście rany starościca były i głębsze i niebezpieczniejsze, bo jedna szła od karku i, łamiąc obojczyk, sparła się dopiero na kości piersiowej; drugie zaś cięcie szło powyżej skroni, dotknęło oka i, odrąbawszy lewe nozdrze, przecinało wąs i usta, przez które świeciły teraz białe zęby nieprzytomnego rannego. Doświadczony Ratułt, widząc, że tu trzeba koniecznie chirurga, by umiejętnie mógł pozszywać rany, — opatrzył starościca doraźnie, zatamował krew, obmył i obwiązał miejsca bardziej niebezpieczne i, złożywszy prawie konającego Malczewskiego obok podstolica, ruszyła cała drużyna pomału drogą ku Zborczycom.

Góreccy byli w czasie ostatniej wojny szwedzko-polskiej gorącymi zwolennikami saskiego stronnictwa i położyli widać dla niego niemałe zasługi, kiedy w nagrodę nadał im August II Dzikowiec, wójtowstwo w Ziemi Sandomierskiej, którego właścicielem, o którym tu mowa, był Karol Gorecki, pułkownik gwardyi konnej koronnej, ożeniony ze Szkotką, panną Allanówną [5]).

Szczęśliwe małżeństwo pobłogosławiła Opatrzność dwojgiem dzieci: starszy, Jerzy, służył w wojsku saskiem, młodszą zaś córką, była panna Marya, którąśmy właśnie poznali w Zborczycach. Pan pułkownik gwardyi był to człek zamożny, bo

---

5) Szczegóły o rodzinie Goreckich wzięte z autobiografii generała Henryka Dąbrowskiego, spokrewnionego z tą rodziną.

oprócz dóbr dzikowieckich, gdzie była zwykła jego rezydencya, posiadał Klucz Raniżowski koło Kolbuszowy, prócz tego po żonie majątek na Litwie. Stosownie do tak obszernego mienia, był i dwór w Dzikowcu urządzony na stopę wielko-pańską a dzieci otaczano jak najtroskliwszą opieką, zwracając uwagę na rozwój zacnych uczuć, na wykształcenie umysłu i polor zewnętrzny, zwłaszcza, że Jerzy i Marysia (jak ją postaremu zwano) odznaczali się wielką pojętnością i niezwykłą bystrością pamięci. To też edukacya szła nad wyraz szybko, przy pomocy swojskich i zagranicznych guwernerów a pod główną dyrekcyą pana pułkownika, który, dzięki pokojowym „augustowskim czasom“ i również pokojowym początkom panowania świeżego elekta, często przesiadywał w domu, a wysoko wykształcony, jak na tę epokę, sam wychowaniem swych dzieci kierował. W piętnastym roku życia skończyła Marysia edukacyą świetnie, bo nie dość, że obznajomiona z naukami, jakie podówczas były tylko udziałem wykształceńszych mężczyzn, mówiła językiem niemieckim, francuzkim i szwedzkim, nie dość, że grała *arte* na klawicymbale, śpiewając przy nim jak słowik na wiosnę, ale nadto nauczyła się poangielsku od matki, a już po łacinie tłómaczyła się tak *expedite*, że niejednego prałata albo palestranta w kąt zapędzić mogła [6]). Rokowano też dla niej najpiękniejszą przyszłość, bo przy gładkiej urodzie był i majątek dostatni, były i stosunki, a co najważniejsza, był i rozum i gospodarność nad lata, które podziwiali wszyscy, a szczególniej już nam znajomy pan Ludwik Dębicki i siostrzeniec pułkownikowej, pan Fryderyk Gordon, człowiek młody, przystojny i pewny przyszłości, bo już obecnie nosił błyszczące szlify majora gwardyi konnej koronnej, a jako officer zdolny, był faworytem samego króla i szefa gwardyi koronnej, księcia generała. Bywał też często w Dzikowcu, zasługując się wuiowstwu, a nie na żarty smaląc cholewki do panny, w czem mu przeszkadzał Dębicki, chociaż ten ostatni, człowiek światowy i lekki, nie bardzo poważnie konkury traktował. Czy-to dla tego powodu, czy też z innych przyczyn, nie było sekretem, że pułkownikowstwo preferują Gordona, był bowiem i poważniejszy i stateczniejszy owiele, a niemało ważyły tutaj i związki rodzinne, bo, jak wspomnieliśmy, był pułkownikowej siostrzeńcem.

Przeciwnie, Marysia, — ujęta urodą i polorem pana porucznika, więcej też jemu zdawała się sprzyjać; lubiła bardzo jego towarzystwo, wesoły humór i opowiadania z wielkiego warszawskiego świata, a jak to często ostateczności w życiu się stykają, tak też i tutaj: umysł Marysi i usposobienie poważne, lubowało się więcej w wesołem-humorze pana Dębickiego, aniżeli w mglistych zadumach i głębszej rozmowie majora Gordona: Zresztą przykładnie wychowana panna zdawała wszystko na wolę rodziców, a kiedy w końcu oświadczył się o jej rękę major, to chociaż się nie obeszło bez cichych westchnień i łez kryjomo spłakanych, przyjęła decyzyą rodziców i zamieniła z Gordonem pierścionek. Atoli oprócz majora i pana Ludwika kręciło się w Dzikowcu dosyć młodej i zamożnej szlachty, dobijającej się o względy panny Maryanny. Między nimi najbardziej się pono rozamorował pan starościc spławski, Jacek Malczewski, mający od innych otyle więcej aspektów, że jako najbliższy sąsiad dzikowiecki bywał bardzo często w domu pułkownika i znał Marysię niemal od dzieciństwa. Mając w Sandomierskiem majątek po matce, Gągolewskiej z domu; mógł też i w Wielkopolsce liczyć na spadek po ojcu, który właśnie w tym czasie został obrany konfederackim marszałkiem przez tameczną szlachtę; że zaś był młodzieńcem akkomodującym się bardzo panom braci, miał więc mir niemały po dworach i dworkach i był wcale nie do pogardzenia aspirantem do ręki Marysi.

(Dalszy ciąg nastąpi).

6) Autentyczne. Słynną była z rozumu i z wykształcenia panna Gorecka, późniejsza generałowa Ludwikowa Dębicka, mieszkająca w Wiatowicach, w okolicy Wieliczki.

List z Londynu.

(Dokończenie)

Jak kobiety irlandzkie biorą udział w trudach i pracach swego narodu, objaśniają nas najlepiej fakta. Że są dzielne i silne, że wyrabiają w sobie te przymioty, wiedząc, iż życie ich nie będzie szło po różach, świadczą nagrody przyznane im w ostatnich dniach zeszłego miesiąca przez towarzystwo filantropijne: „Human Society“—cztery nagrody za ratowanie tonących. Miss Sara Hackett otrzymała medal srebrny za wydobycie z morza miss Małgorzaty Emmet, która nie umiejąc pływać a kąpiąc się w morzu w czasie jego przypływu, tonęła unoszona przez fale. Patrząca na to z brzegu Sara Hackett, skoczyła w wodę, ale ubranie krępowało jej ruchy, uczuła, że sama może iść na dno, zawróciła więc, wydostała się na brzeg, zrzuciła suknie i znów skoczyła do wody, aby dopełnić szlachetnego czynu. Medal bronzowy otrzymała miss Mabel Bell, dziewczę siedmnastoletnie, za podobne wyratowanie z morza miss Katarzyny Vincent. Miss Maud Armitage uratowała życie dwunastoletniego chłopca w zatoce Erin Bay; miss Geraldina Pralt uczyniła tosamo dla wiejskiej dziewczyny, tonącej w rzece Bandon, a wszystkie te bohaterki, to młode panny z klas wyższych, przecież nie mdłe, nie niedokrwiste, wstępujące w życie z zapasem potrzebnych mu sił i zdrowia. Ale nie w takich tylko nadzwyczajnych przygodach wykazuje się dzielność kobiet irlandzkich. *Irlandzkie Towarzystwo Domowego Przemysłu*, które skład wyrobów swoich otworzyło tego lata właśnie w mieście Killarney, wykazało dowodnie: jaką to jest pracowitość kobiety irlandzkiej i zarazem czem może być dla domu i rodziny kobieta gospodyni.

Klasztor Wizytek w tem mieście i klasztory Sióstr Miłosierdzia w całej Irlandyi, to szkoły robót ręcznych, szkoły domowego przemysłu. Nietyle przecież koronki, tak przepyszne, mówiąc nawiasem, że dla mego męzkiego oka wydawały się dziełem Arachny; nietyle hafty, wyroby drutowe, które całemi wagonami idą na rynki londyńskie, wzbudzały uwielbienie dla tej pracowitości, ile produkta wiejskiego gospodarstwa, tak pań ze dworu, jak kobiet wiejskich, i zrozumiałem też słowa jednego z poważnych a zacnych mężów stanu Irlandyi, Jerzego Macdonalda, który, obwożąc mnie po wioskach irlandckich, rzekł mi: — Kobieta to podpora nasza.... Masło, jaja, drób', miód, idą z ubogich wiosek irladzkich do Anglii w ilościach takich, że zadziwić się trzeba i można też powiedzić, że dochody czerpane z tego źródła stanowią ważny przyczynek wśród pracy ciężkich wysiłków utrzymania się tej nieszczęśliwej ludności przy gruncie, który im wydrzeć, zpod nóg zabrać usiłują. W Kerry właśnie, niedaleko od Darrinnane Abbey, oglądałem zadziwiające gospodarstwo kobiety, wdowy z podupadłej szlachty, której całem mieniem jest mały, o czterech izbach dworek, z niewiększym kawałkiem gruntu, jak nasze sady dworskie, i która z tego żyje, utrzymuje syna w szkołach w Dublinie, prowadząc hodowlę kur. W tym roku wyhodowała na sprzedaż 150 kurcząt i mówiła mi smutnie, że mogła by ich była mieć dwa razy tyle, gdyby wiedziała, że znajdzie zbyt na nie.

Kobiety irlandzkie są wogóle żywe, bystre, obdarowane umysłowością wyższą, i słyną w państwie Wielkiej Brytanii z gorącej, namiętnej miłości ziemi swojej. Otóż można powiedzieć, że patryotyczne ich uczucie wytwarza w nich tę pracowitość wielką, przez którą usiłują trzymać się na ojcowiznach rodzinnych. Drugostronnie popycha to wiele zpomiędzy nich do prozelityzmu pracy i właśnie poznałem tu jednę z takich kobiet znaną całej Irlandyi, miss Lehane, która zyskała sobie przydomek, niby szyderczy, przecież w gruncie rzeczy zaszczytny: „The Peripatetic Darymaid“. Kiedy mi proponowano, abym się jej przedstawił, dodając przytem z uśmiechem przydomek— nie chciałem, sądząc, że tu chodzi o żarty i że jest to jakaś dziwaczka śmieszna, ale zaraz zostałem wywiedzionym z błędu. Zrozumiawszy czem dla sprawy Irlandyi jest stan ekonomiczny, zacna ta kobieta—stara panna dla kogoś, co patrząc na kobietę widzi przedewszystkiem róże i lilie jej lica, przecież w sile wieku dla tych innych, którzy są inaczej usposobieni,—nie myśląca już o stworzeniu własnej rodziny, o nauczaniu własnych dzieci, postanowiła żyć życiem użytecznem, nieograniczającem się do troski o własne tylko dobro, i wybrała sobie dział jeden pracy praktycznej—dział jeden domowego gospodarstwa kobiety, którego nauczaniu się poświęciła. Jeżdżąc od sioła do sioła po rodzinnej swej prowincyi Dunganon poczęła uczyć tamtejsze kobiety — sztuki robienia masła... Śmiano się z niej zwykle przy pierwszych wyrzeczonych o tem słowach, mówiono jej coś o prababce Ewie, która już może posiadała tę sztukę; ona przecież, nie śmiejąc się, traktowała swój przedmiot i gdy wykazała dowodnie, że przy racyonalnem obejściu się z mleczywem, można z tej samej ilości mleka mieć owiele więcej i lepszego, drożej płaconego masła — przestano się śmiać. Wioski, które objeżdża, przyjmują ją z uszanowaniem, słuchają jej, uważając za dobrodziejkę. I znalazła naśladowczynią: miss Dawnes, równie zacna i ubogi lud kraju swego kochająca kobieta, poczęła — naśladując ją — miewać w Walii po wsiach odczyty o mleczarstwie. Obecnie jest ona nauczycielką mleczarstwa w szkole ludowej w Flintshire, gdy tymczasem *Peripatetic Darymaid* objeżdża wciąż najuboższe sioła i przysiołki Irlandyi, ucząc racyonalnego obchodzenia się z nabiałem.

Irlandya ma swoje *entuzyastki* i wysoce zajmującą książkę stworzyłby ten, ktoby poczciwe chęci i szlachetne czyny tych kobiet spisał i dla nauki innych, dla dobrego przykładu do wiadomości ludzkiej podał. Właśnie za mego pobytu w Dublinie, Arcybiskup dziękował publicznie jednej z takich uczciwych: miss Mulvany, przełożonej nad zawodową szkołą dziewcząt w tem mieście, za jej obywatelsko poświęconą staranność w jej prowadzeniu. Obejmując urząd swój przełożonej, miss Mulvany, znalazła tam 67 uczennic, a na budynecie szkoły ciążył wielki dług około 700 funtów. Obecnie po upływie lat kilku uczęszcza tam 250 dziewcząt, a długi są niemal już spłacone.

Ostatnie dnie mego pobytu w Irlandyi poświęciłem pobożnej pielgrzymce: udałem się nad morze, do Bournemouth, gdzie Parnell, bardzo osłabiony, zmęczony tem, co przeszedł, schronił się na wypoczynek, biorąc nakazane mu przez lekarzy kąpiele morskie. Żjadło go—powiedzieć można—życie agitatora i zalecony mu jest teraz odpoczynek, najzupełniejsze odsunięcie się od wszelkich prac politycznych — od wszelkich wstrząśnień i wzruszeń. Nie pozwolono mu nawet jechać do sędziwej już i chorej matki, mieszkającej w Ameryce, a dla której jest on i był zawsze dobrym, tkliwym synem. Przebycie Oceanu uważają za niebezpieczne dla rozstrojonych jego nerwów.

Do Londynu przybyłem właśnie w chwili rozpoczynającego się po wakacyach letnich ruchu interessów i pracy, prawidłowego pulsowania tego olbrzymiego grodu. Jego wiosenno-letnie karnawałowanie, odpowiadające zebraniu się Parlamentu i zjazdowi z różnych stron kraju wybranych doń posłów z rodzinami, to fala wierzchem przepływająca. Prawdziwe życie miasta skupia się w jego wielkich obrotach handlowych, w jego przemyśle, w jego poważnych pracach naukowych: jego milionowa ludność mieszczańska ma własną swoję sferę, której się trzyma z godnością trochę sztywną, ale dostojną, bo opartą na uczuciu ważności swojej wśród narodu i, nie naśladując tamtej, nie wdzierając się do niej, ma swoje własne pole zabawy, używania. Spieszyłem się też, aby tu zdążyć na wielką uroczystość. Stare miasto londyńskie: „City“ obchodzić będzie w tym roku siedmsetletnią rocznicę założenia Londynu, co postanowiono połączyć z tradycyjną processyą inauguracyjną nowego Lorda Mayora, inaczej burmistrza miasta, a odbywa się to zwykle bardzo paradnie, ze średniowieczną pompą, w średniowiecznych strojach—historyczny zabytek starych obyczajów. Zdaje mi się, żem wam to już opisywał ongi: pochód wspaniały cechów i korporacyi

miejskich, ciągnących przez główne ulice starego Londynu. Tego roku odbędzie się to uroczyściej, bo liczna deputacya robotników, pracujących w dokach londyńskich, to jest w portowych magazynach Londynu, weźmie udział w tym korowodzie przez wdzięczność dla nowego lorda majora, sir Henryka Isaac, za sympatyą, czynnie im okazywaną w czasach ciężkich bezrobocia, które w lecie tego roku wystąpiło czarną chmurą na życie stolicy Anglii. Plaga to jest naszego stulecia, te zmowy rąk pracujących, czy przecież tylko w tę stronę kamień rzuconym być powinien? Tu przecież znalazł się szczęśliwie rozjemca: głos, który przemówił skutecznie do serc i sumień ludzkich i uspokoił wzburzone fale namiętności.

Tym mężem pokoju był katolicki arcybiskup Londynu, a raczej Westminsteru: kardynał Manning. Ponieważ znaczna liczba Irlandczyków, więc katolików, była między owymi rebeliantami pracy, zatem ten pasterz dusz uważał sobie za obowiązek znaleźć się teraz między nimi, aby wysłuchać skarg, wyrozumieć gdzie jest krzywda i wyzysk, a gdzie żądania bezpodstawne. Samo jego zjawienie się między tym tłumem biednym, rozgoryczonym, było jakgdyby zestąpieniem anioła: otoczono go, wylewano przed nim żale swe i skargi, okazywano nędzę—i to nietylko ci, do których przyszedł: robotnicy wszelkich wyznań tłoczyli się do niego, pociągnięci jego słodyczą i łagodnością, dobrocią ojcowską. Uczyniono go arbitrem sprawy, jakkolwiek byli tu już poprzednio inni, zasługujący również na zaufanie, którzy schodzili między ten tłum wzburzony, aby tu być adwokatami sprawiedliwości, ale on ukazał się jako adwokat miłości, jako adwokat pokoju, i zwyciężył rozjątrzenie, uciszył namiętności. Potem przemówił do dyrektorów towarzystwa, dzierżawiącego pracę robót portowych, a mówił zapewne o sądzie bożym, który przyjdzie zarówno na bogacza, jak na ubogiego i dokonał świątobliwego dzieła zgody, za które wzniósł mu się niewątpliwie w sercach ludu londyńskiego pomnik, z materyału droższego niż wszystkie złota Kalifornii. Anglia ma zawsze, choć obecnie trochę przysłonięte, rogi, któremi rada bodzie katolicyzm, ale ustąpił tu teraz wszelki podział na wyznania, na stronnictwa i prassa angielska podniosła jednozgodnie głos wdzięczności dla kardynała, a jeden z bardzo poczytnych dzienników tutejszych „Pall Mall Gazette“, napisał, że to, czego Manning dokonał, czyni go rzeczywistym Prymasem Anglii — dodając, że cały naród ubolewa nad tem położeniem, iż przy panującym wyznaniu anglikańskiem nie może on zająć tego stanowiska.

—„Rola, jaką odegrał świątobliwy ten prałat—pisze dalej gazeta—przywodzi na pamięć wielkie czyny Kościoła, Wprawdzie okoliczności nie mają tu wyrazu takiej imponującej siły, jak wtedy, gdy papież Leon stanął między Attylą a Miastem Wiecznem jako rozjemca, ale niemniej przewodniczył tu tensam duch poświęcenia i świętej mądrości, jak u wielkiego papieża“.

Leon XIII przysłał kardynałowi przez telegraf błogosławieństwo pasterskie i podobno nietylko królowa Wiktorya, ale rząd w osobie swego pierwszego ministra dziękował mu za to, co uczynił dla wewnętrznego pokoju państwa i przygaszenia żarzewia socyalistycznego, które zostałoby niewątpliwie rozdmuchanem przy sposobności. Teraz świeżo, bo już w tym miesiącu, papież przesłał kardynałowi encyklikę swoję w tej kwestyi—w kwestyi socyalizmu, z życzeniem, aby go powiadomił szczegółowo o stosunkach robotników i pracodawców w Anglii. Dla uzupełnienia obrazu, dodam, że John Burns, Szkot z rodu, człowiek śmiały, ognisty i wyższego umysłu, a w tej sprawie naczelnik robotników, napisał do arcybiskupa list, dziękujący mu, że „stanął w obronie uciśnionych, jako prawdziwy apostoł Chrystusa“.

Cały ten dramat, który odbija jaskrawo na posępnem tle dzisiejszych stosunków Europy, jest *Nieboską komedyą* końca naszego wieku. A rozegrała się tu właśnie tragedya ciężko ponura. Kobieta młoda, bo jeszcze nie trzydziestoletnia, samotna — poetka z talentem prawdziwym, który znalazł sobie uznanie, Amy Levy, otruła się przez zaczadzenie i według ostatniej jej woli, którą znaleziono spisaną, zwłoki jej zostały spalone w krematoryum w Woking, co razem tworzy bolesny obraz ducha w stanie buntu przeciwko wszystkim prawom, nawet natury. Nie była ona chrześcijanką, była żydówką, ale to wszystko jedno, bo hardo odrzucała wszelkie wyznanie i przyznawała się do tej niewiary, która była wiarą tylko w nicość, wydającą jako ostatnie życzenie, aby wiatr rozniósł po świecie jej prochy. Dużo umiała. Kształciła się w Cambridge, w uniwersyteckiem kollegium w Newham, a pierwszy jej poemat: „Xantypa“ był odrazu rękawicą, rzuconą pojęciom uznanym. Jej „Xantypa“, to ofiara despotyzmu mędrca mężczyzny, który dla siebie tylko zachowuje zdroje mądrości i dopuścić nie chce, aby z nich piły usta kobiety. Onasama mogła je przecież przyłożyć swobodnie do tej krynicy, cóż przecież z tego, skoro dopiła się tylko goryczy—trującego piołunu negacyi?...

Pamiętam, że pisaliście się kiedyś o *Xantypie*. Zdawało się wtedy, że obranie na bohaterkę postaci, lżonej przez całe wieki, jest wyrazem młodej buty śmiałego umysłu, która woła, że wysadzi świat z jego podstaw starych, aby pchnąć na tory inne. Że było przytem i dużo siły w wyrazie tych pragnień uposażenia świata w dobra nowe, pominięto co było tu poradoxem, a wzięto rzecz za zapowiedź niepodległego, hardego talentu, który przecież cóż wydał, prócz rozpaczy? Śmierć sama nieszczęśliwej jest jeszcze negacyą ostatnią — zaprzeczeniem wszystkiego i pogrążeniem się w nicość. Nie miała skończonych lat 28; posiadała oddarowanie wyższe i, nie dobiegłszy żadnego celu, skończyła tak okrutnie! ..

Umarł tu, w Londynie, pisarz bardzo znany i bardzo obfity, Wilkie Collins. Poczytny był bardzo w sferach czytelników lubujących się w effektach wrażliwych i nadzwyczajnościach. Z początku działał na niego wpływ Dickensa, ale rodzaj ten nie odpowiadał naturze jego talentu i przerzucił się do romansu sensacyjnego, naśladując Dumasa ojca, ale nie dorównał mu, bo nie było w nim tej iskry, która u Dumasa zapalała gorąco nie samą tylko wyobraźnią, ale kazała zarazem bić sercom, zwłaszcza młodym. Dumas miał ideę, której tu brakowało; jego bohaterowie działają zawsze dla jakiejś sprawy szlachetnego uczucia, honoru; w ich braworze jest zawsze coś rycerskiego, co oddziaływa na czytelnika: jest poświęcenie i na przykład jego *Trzej Muszkieterowie*, rzecz pełna fantazyi, oddziaływa podobnie na fantazyą czytelnika, gdy Collins drażnił głównie wyobraźnią, i epigon romantyków już przecież romantykiem nie był. Zyskał sobie przecież rozgłos i ogromne pieniądze, można powiedzieć fortunę, bo powieści jego były chciwie czytane w Ameryce, która mu drogo za nie płaciła. Odbył tam raz podróż i miewał odczyty.

Jest tu pod prassą książka, po której krytyka angielska spodziewa się dobrego nabytku w zakresie filozofii popularnej: „Umiejętność codziennego życia“ (Science of Everyday Life) przez Johna Bower. Jest to znakiem, charakteryzującym społeczeństwo, że wychodzi tu więcej niż w jakiemkolwiek piśmiennictwie europejskiem. książek tego rodzaju i są czytane, miewają po wydań kilka. Nowości literackie nie pojawiły się dotąd w księgarniach, ale teatra już się otwierają i robi tu rzadką u Anglików *furore* sztuka Watt'a Phillips, wystawiana na scenie jednego z pierwszorzędnych teatrów tutejszych: *Lyceum Theatre*: „Martwe serce“ (The Dead Heart) o której dzienniki tutejsze, bynajmniej nie skłonne do uniesień, piszą, że „jest to jedna z najwytworniejszych, najszlachetniejszych sztuk teatralnych, jakie za pamięci żyjących ludzi ukazały się na deskach teatralnych Londynu“. Bohaterem głównym jest młody sztukmistrz: rzeźbiarz, wydarty miłości, sztuce — życiu, przez potężnego nieprzyjaciela, który osadza go w Bastylii, gdzie zamknięty przez lat ośmnaście, wydostaje się na wolność w chwili, gdy rewolucya — lud paryzki, burzy to więzienie.

Wydostaje się na świat z grobu, ale serce już w nim umarło i z tem *martwem sercem* w piersi staje on wobec życia toczącego się teraz na innych zupełnie nowych, warunkach, i które też dają mu obecnie moc nad wrogiem jego i prześladowcą, nad kobietą niewierną. Korzystać z tego chce, pożąda zemsty, pragnie pić jej gryzący nektar, ustami przez lat tyle łaknącemi daremnie; lecz w martwem sercu została jeszcze jakaś iskra dawna uczucia, i nieszczęśliwy uczuwa nagle, że to serce porusza się w nim, że uderza - budzi się do litości, miłości, ofiary, i zmartwychwstały z grobowca człowiek w szlachetnem uniesieniu rozbudzonego nanowo serca, wydaje się pod nóż gilityny, aby ratować syna kobiety niegdyś kochanej — kochanej i niewiernej, która oddała się jego wrogowi. Powiecie może wzgardliwie, że to melodrama —rodzaj przestarzały, widać przecież, że nie przestarzeje się nigdy w człowieka to coś, co wzrusza się obrazami szlachetnych poświęceń i uniesień, bo publiczność angielska, której nikt nie posądzi o wrażliwość, zapalność zbyteczną, rozgrzała się rzadkiem tu w teatrach uniesieniem i sztuka — dodać należy, że pisana przed laty trzydziestu — ma szalone powodzenie: robi *furore*, i sala teatralna grzmi oklaskami, zapełniając się przy każdem przedstawieniu *Martwego Serca* od dołu do góry. A powtarzam, że scena *Lyceum* należy do pierwszorzędnych w Anglii, i jej publiczność — to ludzie przyzwyczajeni do effektów scenicznych. Widząc też tak rzadkie powodzenie sztuki, głównie wynikające z tego, że odzywa się do szlachetnych instynktów człowieka, że przedstawia obrazy cnoty wzniosłej, można zawołać po naszemu: —Jak mi Bóg miły! nieźli są ludzie...

Nieźli są i tu, i tam u was, i mniej więcej wszędzie, a nasuwa się tu jeszcze uwaga jedna pod adressem tych, którzy dzielą ludzkość wedle temperamentów. Otóż Anglik, jak wszyscy wiedzą, jest z temperamentu flegmatyk, ale widać, że coś innego jeszcze, mieszkającego w piersi człowieka, reguluje jego stany uczucia i myśli, skoro tak limfatyk, jak krwisty, uczuwa bicie serca żywsze, gdy szlachetny obraz wzniosłego uczucia postawi mu przed oczy ideał życia nieprzykutego jedynie do ziemi—do zadowoleń egoistycznych, egoistycznego dobrobytu.

Na pożegnanie zrobię jeszcze małą wycieczkę w stronę literatury, bo to, co wam tu piszę, przypomniało mi właśnie książkę, dowodzącą tejsamej tezy: „Wpływ literatury w historyi brytańskiej“ (Litterary Influene in British History. By Albert Canning) Snadź nie temperament rządzi człowiekiem, nie temperament jedynie jest mu władzcą i panem, skoro to, co oddziaływa na kierunek jego myśli, uczuć—na duchowe, moralne jego wyrobienie, odbija się potem na jego życiu i życia tego wynikach — tworzy dzieje. Szkoda, że ta dobra, rozumna książka ograniczyła się do stosunków angielskich wyłącznie i wyjąwszy jednego, wstępnego rozdziału, w którym wykazane są wpływy literatury na dzieje Judei, Grecyi i Rzymu, dalej traktuje rzeczy angielskie.

Pozwólcie jeszcze długo słudze waszemu zdawać sobie z nich sprawę, bo miło jest choć wyobraźnią wracać na stare szlaki, na starą siedzibę swoję. Duchy pokutujące—to ludzie, co tęsknią.

Vale...

POLEMIKA.

W Nr. Nr. 1—6 *Bluszcz* wydrukował *Dziennik Zofii Komierowskiej*, spisany w Paryżu w r. 1853.

Na wiosnę r. b. p. Marya z Mickiewiczów Górecka wypuściła w świat drugie wydanie swoich *Wspomnień o Adamie Mickiewiczu*. W tem nowem wydaniu na ostatnich stronicach, od 157—162-ej, wzbogaciła pamiętnik swój wycieczką przeciwko wszystkim rozszerającym fałsze o wielkim poecie, jego żonie, rodzinie, otoczeniu jego całem—o tem wszystkiem co nam ukazuje Mickiewicza niejako *u siebie*. Groty pole-

miki dotknęły głównie *Dziennik Zofii Komierowskiej*, który będąc świeższym od innych, żywszy też gniew w sercu autorki *Wspomnień* rozniecał.

Ustęp dotyczący *Dziennika* nadesłała nam p. Górecka z żądaniem wydrukowania go w *Bluszczu*. Przychyliliśmy się do żądania jej tem chętniej, że zarzuty godziły w rzeczy uboczne, a w głównych, przynoszących w sobie rysy do charakterystyki wielkiego poety i jego otoczenia, nie zdołały przeciwko *Dziennikowi* postawić nic więcej prócz gołosłowych zaprzeczeń.

Przy ogłaszaniu polemicznej odpowiedzi p. Góreckiej w Nr. 29 *Bluszczu* Redakcya, zajmując stanowisko rozjemcze, oddała pod rozwagę córki Adama Mickiewicza kilka okoliczności, które powinny jej były wskazać, że ów koloryt charakterystyczny, wytknięty przez nią w *Dzienniku Zofii Komierowskiej*, nie jest niczem dowolnem, niebywałem i z prawdą niezgodnem; że przeciwnie, znajduje dla siebie uzasadnienie, nietylko w żywej współczesnej opinii, nietylko w podaniach snujących się przez dawniej już drukowane wspomnienia, ale i w źródle bezwarunkowej wiarogodności, bo w Mickiewiczu samym.

Na dnie tych uwag naszych, dodanych do odezwy p. Góreckiej w Nr. 29 *Bluszczu*, leżała życzliwa rada, aby dalszej polemiki zaprzestać.

Minęło parę miesięcy bez nowego polemicznego objawu. Zdawać się już mogło, że p. Górecka usłuchała dobrej rady, kiedy naraz pojawiać się zaczął po rozmaitych czasopismach codziennych i tygodniowych tensam wyjątek ze *Wspomnień*, który córka Adama Mickiewicza nadesłała była *Bluszczowi* do wydrukowania. Nowy ten potop zdziwił nas niemało. Teraz już i sama autorka *Dziennika* głos zabrała i z upoważnienia jej p. Bronisław Komierowski wystąpił w Nr. 290-m *Kuryera Warszawskiego* z odpowiedzią na zarzuty p. Góreckiej.

Odpowiedź ta dla autorki *Wspomnień* drugiego wydania zostawia z całej jej filippiki dwa tylko fakta, wprawdzie nie Mickiewicza i jego otoczenia, ale narzeczeństwa hr. Działyńskiego i processu wołu tuczonego dotyczące.

„Boeufgras“, któremu autorka *Dziennika* przyglądała się w Paryżu, przeciągał po ulicach nie w dzień dodatkowy, ale w dzień główny swej uroczystości — nie we Środę, ale we Wtorek. Objaśnić potrzeba, że tylko wskutek mylnego złożenia daty („9-go“ zamiast „8-go“) „Wtorek“ zamienił się na „Środę“.

Zatem tak niezmiernie ważną w życiu Mickiewicza kwestyą chyba już i p. Górecka uzna za ostatecznie rozwiązaną zarówno w ogólnej wiedzy historycznej, jak i w samym *Dzienniku Zofii Komierowskiej*.

Pozostają wszakże inne fakta leżące już w zakresie biografii Mickiewicza. Przy tych Zofia Komierowska obstaje, podczas gdy p. Górecka używa stale jednego argumentu: Tak nie było, bo ja nie chcę, żeby tak było.

Nie chce tedy p. Górecka 1-o) żeby ojciec jej miał stosunki bliższej, zażyłej, jak widać, znajomości z Józefem Komierowskim, mężem pani Zofii; 2-o) nie chce, żeby Mickiewicz dekłamował wspaniały utwór Słowackiego — bo któżby tam, będąc Mickiewiczem, zadawał się z takim Słowackim-poetą w cztery lata po skonie człowieka,— a pani Górecka w nowym wylewie swego gniewu podawnemu, z całą dziecięcą szczerością, zapewnia, że ojciec jej *Słowackiego nie lubił*; 3-o) nie chce p. Górecka, żeby M. śpiewał wesołą piosenkę, — nie chce, bo sztywny konwenans nie pozwala jej odczuć całej ujmującej prostoty, prawdy i rzewności w szczerej, jędrnej męzkiej naturze, jaką miał właśnie jej ojciec; 4-to) nie chce, żeby M. w stosunku do Towiańskiego był grzesznie, z zapomnieniem o sobie, uległym, nawet wtedy, gdy już błąd i prawdę poznawać zaczął; 5-to) nie chce nakoniec, ażeby wpływ najbliższego, ciągłego otoczenia na jego umysł był takim, jakim rzeczywiście był — t. j. zniżającym ten poziom wyższości, do jakiego duch taki podniosły koniecznie wzbić się musiał.

Tego wszystkiego p. Górecka nie chce, bo uważając pamięć wielkiego swego ojca za wyłączną swą własność, patrzy na niego i jego życiowy ośrodek z zacieśnionego podmiotowego stanowiska; podczas kiedy krytyka i powszechność myśląca i czująca patrzeć chce, może i powinna tylko ze stanowiska ogólnego, przedmiotowego, takiego, któreby dla wszystkich wspólnem być mogło. Na tem stanowisku oko dostrzega samego tylko Mickiewicza; on jeden tylko wzbudza zajęcie potomnych, a wszystko, co go otaczało, żywe, czy martwe, duchowe czy materyalne, ma jedynie martość warunków, w jakich bytować, żyć, rozwijać i objawiać się musiał ten duch tak niezwykły.

Co jest osobiście drogiem dla p. Góreckiej, to dla powszechności czczącej Mickiewicza—i jego tylko samego—wcale drogiem być nie potrzebuje i nawet drogiem być nie powinno, tamowałoby bowiem jasne spojrzenie w głąb' owego życiowego ośrodka, którego zrozumienia nie wyrzecze się nigdy ani sumienia biografia, ani umiejętna krytyka i estetyka literacka.

Nie Zofia Komierowska, ale sam Adam Mickiewicz złożył wymowne przekonywające, wszelką dalszą polemikę przeciąć zdolne świadectwo : iż duchowi tej, jak on, miary zaciasno było w otoczeniu domowem, nawet wtedy gdy był tylko siłą statyczną, gdy ze świata myśli i rzeczywistości do domu na wypoczynek powracał.

Przypominając pani Góreckiej istnienie takiego świadectwa, mniemaliśmy, że wywołamy przez to zbawienny namysł. Stało się inaczej; a gdy córka Adama Mickiewicza ciągle jeszcze przekonaną jest, że się jej krzywda dzieje — niechżeż o tę krzywdę nie obwinia samych tylko autorów fałszywych wspomnień o Mickiewiczu. W *Korrespondencyi* poety, przez Dzieci jego wydanej, znajduje się list napisany po śmierci żony do Pani Woodpol (Konstancyi Łubieńskiej) w d. 18 maja 1855 roku.

W liście tym czytamy:

„Te ostatnie chwile jej wytłómaczyły po części zagadkę tylu lat bolesnych. Można powiedzieć, że w chwilach tych rozłąki *połączyliśmy się poraz pierwszy*. Jakoż przyrzekła mi, że będzie duchem mnie pomagać być ze mną. *Czemuż tego nie było za życia?*“ *).

Ważniejsze to chyba świadectwo od przyniesionego przez Zofią Komierowską w opowiadaniu o centymach potrzebnych na jakiś sprawunek.

Reszta puścizny po Słowackim.

Niedawno wyczytałem w jednym z tygodników warszawskich wzmiankę krytyczną o nowych pismach pośmiertnych Juliusza Słowackiego. Krytyk odsądził tę pozostałość po wielkim poecie nawet od prawa do druku, w który ją wyposażył był p. Józef H. Rychter, znany ludziom zajmującym się sprawami piśmiennictwa z pracowitego przeglądania w Bibliotece Ossolińskich manuskryptów Słowackiego, przez prof. Małeckiego zakładowi temu podarowanych. Pochodzą one z lat 1842 do 1849, a w inwentarzu księgozbioru występują pod numerem 1.792. Prof. Małecki skorzystał z nich do charakterystyki ostatnich lat poety w jego życiorysie; wiele utworów wydrukował w *Pismach pośmiertnych*, ale sporo jeszcze pozostawił w stanie rękopiśmiennym, uważając je za nienadające się do druku, z powodu samej już ułamkowości, w jakiej się znajdowały, wreszcie z powodu mniejszej od innych wartości.

Z odrzuconych przez prof. Małeckiego manuskryptów p. Biegeleisen odczytał i odpisał *Agezylausza*, dramat cztero-aktowy. W r. 1884 *Bluszcz* ten utwór wydrukował pod tytułem zmienionym, lepiej odpowiadającym przedmiotowi: *Król Agis*. Tensam utwór ukazał się jednocześnie w wydawnictwie *Przeglądu Tygodniowego*, pod tytułem pierwotnym, w opracowaniu p. Rychtera. Oprócz *Agezylausza* p. Biegeleisen wypisał jeszcze z pozostałości u Ossolińskich, oprócz poezyi w *Kłosach* r. 1883, prozę Słowackiego, a mianowicie: *Genezis z ducha*, ogłoszoną już dawniej osobno (1872), a pominiętą przez Małeckiego, *List do Rembowskiego*, *Wykład nauki* i *Dziennik z roku 1847—9*. Wszystkie te cztery odrębne całości wyszły w r. 1884 w jednym zbiorze.

P. Rychter, przeglądając pozostałość, wybierał z niej rzeczy uznane przez siebie za lepsze i, począwszy od r. 1884, nadsyłał je *Kłosom*, które wydrukowały sporo nieznanych wcale liryków, przypowieści i wyjątków z większych utworów; wpośród nich zaś pierwsze miejsce należało się ułamkom z *Zawiszy Czarnego*. Na ogłoszone wiersze — choćby tylko *wiersze* — krytyka nie zwróciła powinnej uwagi. Tak upłynęło lat kilka. Rozmiłowany w Słowackim p. Rychter zebrał utwory raz już do druku podane, dołączył do nich zostające jeszcze w rękopiśmie i w roku bieżącym wydał trzeci z rzędu zbiór poezyi nieogłoszonych za życia autora.

Biorę go do ręki. Już przy wezwaniu wstępnem zaczynam niedowierzać krytyce, a w *Eolionie* znajduję przeznaczenie wieszcza wyrażone wierszem, którym nie pogardziłby żaden z miłych krytyce rymotwórców. Miłość ziemska walczy z wiekuistą. Napływa widzenie z *Lilli Wenedy*. Ziemianka woła: Jak mi straszno! — a Eolion:

We mnie jest moc płomieni:
Co rozerwane, zwiążę...
Dziecko ja jestem boże;
Idę, gdzie przeznaczenia
Wiatr świszcze...

I oboje schodzą na ziemię. *Fragment* zestawia swobodnie, niby od niechcenia, życie greckie z Czasów Trojańskich z późniejszem — na dalekich ukrainach.

Zamiast drzew cytrynowych stare dęby, zamiast Homera lirnik, zamiast róż polne kwiaty, Turek z branką, jak centaur z Dejanirą, a panowie po dworach

Sąsiadują, jak Argos król z królem Myceny.
Pieszo mógł Agamemnon, a laurowym gajem,
Jeśli gorąco, cieniem idąc i powoli —
Po południu wyszedłszy gadać z Menelajem
O sprawie Greków, albo o pługach na roli,
I przed zachodem słońca być u siebie w domu,
O przechadzce królewskiej nie mówiąc nikomu.

Cóż więc królestwo? Czy zewnętrzna okazałość?
Nie:

to ta królewskość ducha,
Z której potem o kształcie ciała ludzi sądzą.

Stajemy *Nad kaskadą*. Lamentujący książę woła:

Niechże mnie teraz w grobowcu położą!
Niech stare kości moje tu spróchnieją!
Ciemne mnie bramy piekielne nie trwożą:
Tu się rozstałem z jedyną nadzieją;
Tutaj, w przepaści, dziecko me jedyne
Leży... niechże ja z mojem dzieckiem ginę...
Serce się moje nagle stało z lodu
I myśl od ludzi, jak zbójca, ucieka
I brata w żadnym człowieku nie widzi,
I zamiast kochać ludzi — nienawidzi...
Bo prochu wypełnił ciała mego skrzynię,
Bo dziś wymarłem cały w moim synie.

Inny znowu *Fragment* wygląda tak, jakby powstał pod wpływem naprzemian nadziei i obaw, jakie w poecie obudzała myśl o małżeństwie z Maryą Wodzińską lub Anielą Moszyńską. Jeżeli domysłu tego nie zbiją dowody przeciwne, to chronologią tego wiersza wypadnie ustalić między latami 1835 a 8. Dalszy urywek jest także miłosnym, a ma w rękopiśmie tytuł „Laura“. „Laurą“ nazywał Słowacki Ludwikę Śniadecką i ostatni raz ku niej się zwrócił w swym dzienniku prozą. Tu „Laura“ inną jakąś kobietę

*) *Korrespondencya Adama Mickiewicza* (8-o.) Skład główny u Gebethnera i Wolffa. T. I, str. 271. Błędnie tam wydrukowano: „pomagać *i* być ze mną“. (*P. Red*).

oznacza. To, co z jej ust słyszymy, brzmi słabo, bezdźwięcznie, ale w głąb' duszy własnej—wiecznie stęsknionej do miłości, patrzy poeta rozdzierająco:

O, jak smutno, kiedy w lesie
Drzewa się same przyznają,
Że już w sobie serc nie mają—
Że im wiatr spróchniałość niesie!
Jaki smutek od człowieka,
Co już tylko grobu czeka,
A innych do życia pędzi
I do wesołości znęca...

Wspaniałą jest *Strofa:*

Duch życia — to rycerz dumny
I ciągle idzie do góry...
Czasem przed prawem natury
Jako przed piorunem stanie,
Zblednie i siły natęży,
I skoczy w ognia otchłanie.
...Po jaki wieniec
Nie pójdzie z myśli orężem
Ten duch — ten wieczny młodzieniec!

Teogonia, owoc borykania się myśli filozoficznej, jest mglista, równie jak *List do Rembowskiego* i *Genezis z ducha*, z któremi w jednej musiała powstać epoce. Ale twórczy język Słowackiego wynagradza nam, choć w części, zamęt w myślach „Głęboki *smutnik*“ — „wielki *zamyśleniec*“ — „miłość w *głęboziemiach*“ — „*skrólą się*“: stwierdzają tę energią zmysłu językowego, którą Słowacki przewyższał i Mickiewicza i Krasińskiego. Wszakże i rzeczy samej w czambuł, bez wyjątku, lekceważyć nie wolno: są w *Teogonii* myśli i obrazy godne wielkiego pióra.

Pierwsza para ludzi, Szczęsny i Sofos 1), znajdują się w Edenie w pierwszej chwili po stworzeniu. Poeta przypomina im te pierwociny bytu:

Oboje wy modl twą zwierząt uproszeni,
Lwów mową i gadaniem ptaków — i strumieni,
I dziwnym róż językiem — wyszliście z płomieni,
Z oszalałej radością stworzenia natury 2).
Nad wami jeszcze ptaki wieńcami i chmury
Rozognione latały, ziemia o was śniła,
A już powoli stygła, hymn i głos traciła;
Lwom się pozamykały paszcze, różom — łona.
Duch padł—już jego święta modlitwa spełniona..
A w was serce, jak czara; ale już z tej czary
Nie ogień, który w formie zapalał pożary,
Ale światło się rodzi i leje bez końca,
Tak, że wy — jako z siebie odrodzone słońca,
Trwacie w miłości Bożej — nic z was nie ubędzie
Wieczni — na rzece czasu błękitnej łabędzie —
Płyniecie w parze. Boże, o jakże szczęśliwi! 3)
Wola wasza, gdy zechce, co zechce — ożywi.
Ducha, którego kocha, udaruje ciałem
W Bogu tworzy – miłosnym stworzenia zapałem
Rozradowana...

Czyn poety, który opiewa jakiegoś bohatera, przedstawia się Słowackiemu jako dorównywający opiewanemu bohaterstwu:

Zaprawdę, przez połowę ten, co opowiada,
Dzieli cześć z tym, co czynił. Może się okaże
Nawet w dniu ostatecznym, gdy włożone twarze
Na prochy podgrobowe — przed słońcami staną,
Że pomiędzy śpiewaka sławą a śpiewaną
Jeden jest grób i urna — dwóch niéma popiołów.

Poetycznie świetne jest przyrównanie zbiorowej potęgi ducha człowieczego na ziemi do sił wulkanicznych. W całym poemacie myśl twórcza ma i polot i głębią, ale nie ma tego, coby *metodą natchnienia* nazwać można, i dlatego skrystalizować się w prawidłowe piękno-kształty nie zdołała.

Z działu Epigramatów i aforyzmów wyjmujemy:

Ani rola, ni handel, ni prac rozdzielenie
Nie jest źródłem bogactwa kra u — le z natchnie-
— [nie.
Ludzie wielcy a z siebie ruch urodzić zdolni
Pośród min wysadzanych chodzą najpowolniej.

—

Znajdź najszlachetniejszego, a potem cierpliwy —
Badaj kraj, w którymby ten święty był szczęśliwy

—

Napełń się przenajświętszym ducha Sakramentem:
A w duchu będziesz rządził globem, jak okrętem.

Jest jeszcze w liczbie tych pięćdziesięciu myśli Słowackiego niejedna zasługująca na poznanie. Weźmy tylko jeszcze zwięzłą przypowiastkę:

Otrzymawszy wprzód na to jednomyślną zgodę,
Zgodzono się sprzedawać w pewnem mieście wo-
[dę.
Jednego tylko potem człowieka złapano,
Który chciał dawać darmo — i ukrzyżowano

Czy to nie mądre?

Trudność odczytania *Agezylausza* była przyczyną pomyłek w dwóch drukach dawniejszych, a zapewne i nowe brzmienie rychterowskie wolnem od nich nie jest, chociaż w wydaniu widać przykładną starowność.

Poemat ten pominiemy.

Zawisza Czarny jest jakby uosobieniem tematu mistycznej czystości ducha męzkiego w rycerzu. Wydawca nazywa ten utwór szkicem dramatycznym w 3-ch aktach; — nie mamy pewności: czy go taksamo nazwał sam poeta. Zawisza z Dworu Cesarskiego idzie pod Grunwald i tam w obliczu krzyża migającego na zabijanym już krzyżaku, on, niczem dotychczas nieustraszony, nagle dreszczem śmiertelnym się wstrząsa. Mówi nam to chór na początku utworu:

Nie spuszczajmy ich z oczu, nie odwróćmy lica:
Oczyma ich oświećmy, pochłońmy ich łonem.
Wszyscy nasi, lecz jeden nam umiłowany
Nie weźmie żadnej skazy, ani żadnej rany.
Piorun mu zagra w hełmie, jak organ kościelny,
Krew mu gorącą w skronie, jak anioł zapuka,
W serce jego uderzy potem strach śmiertelny,
A on go jak szatana podepce i zfuka,
I raz tylko, przed krzyża czerwonego znakiem
Stanąwszy, straci serce i zadrży z rumakiem.
I serce w nim sarmackie wtedy krzyknie: *hura!*
I pod szalonym panem skoczy koń szalony
I [czarny rycerz] trupem położy komtura 4)

Jagiełło bada Zawiszę i, dostrzegłszy w nim rozstrój duchowy, — skutek owego lęku, — oddaje Staroście Sanockiemu, aby „gospodarnym trybem urządził jego ducha“ 5). Zanim bohatera na dworze starosty ujrzymy, poeta przenosi nas na dwór zdradliwego Cesarza Zygmunta. Baptysta Cigali, kupiec wenecki, opowiada Cesarzowi pogrom grunwaldzki. *Pola* trazymeńskie, „biorące w siebie żywcem całe kohorty czerwone— są niczem wobec pól Grunwaldu. Owych *pól* trazymeńskich nie trzeba brać literalnie; nad Trazymenem więcej było wzgórz i wąwozów, niż wolnego pola. Ważniejszem jest inne przeniewierzenie się poety prawdzie. Oto Oleśnicki nie przestaje od początku utworu występować już jako biskup, a w opowiadaniu Baptysty Jagiełło nakazuje mu składać biskupie pastorały. Cesarz przypomina sobie Zawiszę i zamyśla go użyć przeciw pogromcom Krzyżaków. Baptysta tak kończy swą opowieść:

(Dokończenie nastąpi).

1) P. Rychter nadaje jej formę męzką. Ob. wołacz „Sofosie“.

2) W druku zaplątał się w ten wiersz całkiem niepotrzebnie wyraz „ognistej“.

3) Wydawca objaśnia w tem miejscu, że na boku rzuciła ręka poety wykrzyk: „Boże“... Właśnie ten uboczny dopisek należy do całości wiersza.

4) Wyrazy zaklamrowane wstawiłem w miejsce nieodczytanych przez p. Rychtera.

5) W tej scenie (II aktu I) wydawca zmącił text. Pierwsze dwa wyrazy z odezwania się Jagiełły „Jaka ponura wizya!“ należą do wiersza poprzedniego i zakończają go rymem „ponura“. Następujący po nim wiersz zaczyna się od wyrazu „wizya“ wymawianego przez Jagiełłę, a uzupełnia do rymu słowami Zawiszy: „I ten trup komtura“. Dziewiąty wiersz trzeciego chóru zanieczyszczony jest przez „swe“,—które poeta przez pośpiech tylko obok „I duchy“ mógł zostawić, ale tego wtrętu mieć tam nie chciał.

Kronika działalności kobiecej.

— Przełożoną Sióstr Miłosierdzia przy szpitalu *Dzieciątka Jezus* została siostra Felicya Wojno, zajmując miejsce opróżnione przez śmierć ś. p. siostry Alexandry Kloczewskiej, zmarłej d. 20 września. Zmarła liczyła pięćdziesiąt lat poświęconej służby swojej, którą pełniła do końca — to znaczy do 75 lat wieku, gorliwie i użytecznie a wyrazem czci pozyskanej był jej pogrzeb, któremu towarzyszyli niemal gremialnie wszyscy lekarze przy szpitalu *Dzieciątka Jezus*, oraz ordynatorowie i lekarze naczelni przy szpitalach innych. Kondukt prowadził ksiądz biskup Ruszkiewicz w licznej assystencyi duchowieństwa. Prostą, sosnową trumnę z krzyżem, taką, w jakiej oddają się ziemi świętej zwłoki najuboższych, wiózł prosty, parokonny karawan, za którym szły sieroty ze szkoły *Towarzystwa Dobroczynności*, Siostry Miłosierdzia, które na własnych ramionach trumnę na karawan wniosły i wzięły ją potem z niego, aby złożyć we wspólny grób Sióstr Miłosierdzia na Powązkach. Po za tem długi rząd karet i, co więcej, wielki tłum ludzi.

— Szósta szwalnia Towarzystwa Dobroczynności imienia Maryi Handtke, została otworzoną przy ulicy Okopowej Nr 4. Dobroczynny ten zakład powstał z ofiary p. Bernarda Handtke, który jest również założycielem ochrony, mieszczącej się w tymsamym domu i utrzymywanej jego kosztem, a przytulającej 120 dzieci. Szwalnia przyjmować będzie 30 dzieweczek. Ochmistrzynią jest p. Marya Lipińska. Ksiądz Biały dokonał poświęcenia zakładu, nad którym rozciągać się będzie dobroczynna opieka p. Maryi Handtke, jak to już jest co do wspomnianej wyżej ochrony.

— Na pierwszem po feryach letnich zebraniu *Towarzystwa opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi*, zarząd Towarzystwa dziękował p. Geberowej za bezinteressowną dezinfekcyą w zakładzie grochowskim przedmiotów, potrzebnych do użytku biednych matek i dzieci. Towarzystwu brakuje na użytek tych pensyonarzy swoich: płótna, półpłótna, termometrów do mierzenia temperatury ciała, wag aptekarskich i odwołuje się ono w tej potrzebie do ofiarności ludzi dobrej woli. Herbatę i cukier przyjmuje zawsze z wdzięcznością. Od czasu trwania swego Towarzystwo dało przytułek 660 matkom.

— Muzeum Pszczolnicze na koszykach przyznało na składanych w jego szkole egzaminach z rocznego kursu pszczolnictwa, jedwabnictwa i warzywnictwa patenta z ukończenia całkowitego kursu ośmiu uczennicom, a to: pp. Zofii Szymanowskiej, Michalinie Ptakównie, Michalinie Rogójskiej, Maryi Przygodzkiej, Antoninie Podgórskiej, Kaźmierze Koskowskiej, Natalii Wojniłowiczównie, Maryi Dębskiej. Obok tego otrzymało patenta uczniów siedmiu.

— Do szkoły rzeźbiarskiej p. J. Kryńskiego uczęszcza uczennic 3.

— Wśród konkursów *Wystawy Nasion i gospodarstwa nabiałowego*, szczególniej interesują kobiety gospodynie konkursa: „w zakresie produkcyi nabiałowej“, „przyrządów służących do gospodarstwa nabiałowego“ i „wytworów domowego przemysłu wiejskiego.“

— *Konkursa produktów nabiałowych* obejmują: Konkurs I-szy: Masło. Okazy najmniej w ilości dwóch funtów, powinny być przedstawione w oseł-kach, lub w opakowaniu, w jakim są dostawiane na targi. Konkurs II-gi: Sery. Okazy należy

przedstawić w tej postaci, w jakiej idą na rynek handlowy. Konkurs III-ci: Różne przetwory z mleka, jak kefir, kumys, mączka mleczna i t. d. Konkurs IV: Racyonalnie prowadzone gospodarstwa mleczne; tu należy przedstawić opis szczegółowy gospodarstwa, stającego do konkursu, Komitet zaś zastrzega sobie prawo zwiedzenia przez specyalnie w tym celu wyznaczoną komissyą gospodarstw, biorących udział w konkursie.

— *Konkursa przyrządów do prowadzenia gospodarstwa nabiałowego* mieszczą: Konkurs I-szy Naczynia używane przy dojeniu, chłodzeniu i przechowywaniu nabiału. Konkurs II-gi: Przyrządy do zbierania śmietany. Konkurs III: Przyrządy do wyrobu masła. Konkurs IV: Przyrządy do wyrobu serów. Konkurs V: Różne przyrządy, narzędzia i statki, ułatwiające prowadzenie racyonalnego gospodarstwa nabiałowego. Konkurs VI: Wzory racyonalnego urządzenia gospodarstwa nabiałowego, piwnic do przechowywania nabiału.

— *Konkursa przemysłu domowego wiejskiego.* Konkurs I-szy: Przetwory i konserwy z owoców i jarzyn. Konkurs II-gi: Wyroby i konserwy mięsne. Konkurs III: Konkurs gospodarstw, w których przemysł domowy jest rozwiniętym Obowiązuje tu również warunek szczegółowego opisu gospodarstw, przystępujących do konkursu, a komitet zastrzega sobie, jak wyżej, prawo zwiedzenia odnośnych gospodarstw.

Również niektóre konkursa w zakresie Wystawy Nasion przypadają na dział gospodarstwa kobiecego, a to: Nasiona roślin włóknodajnych, jak len, konopie, trojeść, pokrzywa i t. d.; tych należy przedstawić po garncu, dodając do nich wiązkę rośliny w stanie surowym. Wystawa cykoryi wymaga przedstawienia półkwarty nasienia i kilku korzeni. Anyżu, kminu, kopru, holendru należy przedstawić dwa garnce, dodając jak wyżej, po wiązce rośliny. Szałwi i mięty, rumianku, przedstawić trzeba po półkwarty nasienia wraz z okazami samej rośliny w stanie, w jakim schodzi z pola i w jakim dostarcza się jej następnie do aptek. Nasiona warzyw i jarzyn ogrodowych trzeba przedstawić w ilości niemniejszej, niż po półkwarty, obok tego pożądanem jest dostarczenie i okazów samej rośliny. Niemniej i tu komitet wystawy waruje sobie prawo obejrzenia na gruncie gospodarstw wystawiających. Nasiona roślin gospodarskich w odmianach mniej znanych i będących przedmiotem upraw próbnych, stanowią również pożądany przedmiot wystawy. Wszystkie okazy należy przesyłać w woreczkach lub słojach, opatrzonych w odpowiednie nazwy. Przypominamy, że deklaracye potrzeba nadsyłać nie później, niż do Grudnia r. b., same zaś okazy zadeklarowane powinny być dostawione na trzy dni przed otwarciem wystawy, to jest po dzień 16 Stycznia 1890 r. Przyjmowanie rozpoczyna się dnia 14 Stycznia. Tylko dla okazów, w których świeżość jest warunkiem ich wyższej wartości, termin ten przedłuża się do d. 18 Stycznia.

— P. Paulina Szumlańska, autorka kilku pożytecznych podręczników z zakresu gospodarstwa domowego, udziela prywatnie zbiorowych lekcyi robót kobiecych i gospodarstwa domowego, co jest dla młodych panien ułatwionym sposobem nabycia wiadomości potrzebnych w kierunku zajęć kobiecych. P. Szumlańska daje lekcye wspomnianych przedmiotów w szkole rzemiosł p. Alexandry Korycińskiej, co się chwali tej szkole, że nie zapomniała o bardzo ważnym dziale praktycznego uzdolnienia się kobiety do pracy w rodzinie. Pani Szumlańska, należąca do grona opiekunek Warsz. *Towrzystwa Dobroczyn.* naucza sieroty w szkole wspomnianego Towarzystwa gospodarstwa domowego, a rzecz to niewymownie pożyteczna, bo dziewczęta te ubogie, więc przeznaczone do pracy czy w służbie, czy wyszedłszy za mąż, w rodzinie rzemieślnika, lub wyrobnika, obznajamiają się w ten sposób z wiadomościami najbardziej im potrzebnemi, o których przecież wychowywane poza ogniskiem domowem nie mogą mieć nocyi najmniejszych.

— Medal złoty za produkta rolne otrzymała na Wystawie Paryzkiej hr. Marya Potocka z Wysokiego, medal bronzowy „Monczyńska“ za kwiaty. Nazwisko to podawane było błędnie w naszych spisach osób nagrodzonych, czy przecież nie będzie to „Miączyńska“ lub „Mączyńska?“ Na dorocznej paryzkiej wystawie sztuki, w tak zwanym *Salon* przyznano dwa listy pochwalne, „Mention honorable“, p. Maryi Dulębiance a to za obrazy: „Na pokuc.e“ i drugi „Sierota“.

— Między wystawczyniami naszemi na Wystawie Powszechnej w Paryżu znajduje się p. Natalia Andreolowa, której wyroby z gliny palonej posiadają taką wartość, że zwróciły na siebie szczególną uwagę niepospolitego w tym zakresie, znawcy, bo Gersona. Znalazł on je tak pięknemi, że chciał wiadomość o tem podać szerszemu kołu publiczności i w tym celu napisał do redakcyi naszego pisma list, który dla wyższej powagi artystycznej piszącego i dobitniejszej wagi jego sądu w wyjątku podajemy:

„Zwiedzając na Paryzkiej Wystawie Powszechnej dział ceramiczny, uderzony byłem rozwojem onego, coraz nowemi zastosowaniami pięknych majolik, mozaik majolikowych i różnych zastosowań gliny palonej, tak polewanej, jak niepolewanej—w tej ostatniej gałęzi drobnych wyrobów codziennego użytku, w tym zupełnie rodzaju i zakresie, w jakim p. Andriollowa, pracując od lat paru z powodzeniem, zapełnia gablotki i półki wystaw sztuki stosowanej, urządzanych w Warszawie. Co wszakże było dla mnie rzeczą nad wszelki wyraz przyjemną, a zupełnie niespodziewaną, to to, że pomiędzy wzmiankowanemi wyrobami francuzkiemi nie widziałem ani jednego tak gustownego jak te, które, nieocenione należycie, codzień oglądać możemy w warszawskim Salonie Artystycznym. Stanowczo to twierdzić mogę, że wszystkie drobiazgi z gliny palonej, wyszłe zpod ręki p. Andriollowej: te paterki, dzbanuszki, koszyczki, ramki do zwierciadeł, popielniczki, przewyższają owiele gustem i pięknością wykonania odpowiednie wyroby francuzkie tegorocznej Wystawy Powszechnej. Dzielę się z czytelniczkami *Bluszczu* tą wiadomością tem ochotniej i goręcej, że p. Andreolowa, niedostatecznie w Warszawie oceniona, bez względu na ten brak uznania nie wahała się, przejęta prawdziwem zamiłowaniem sztuki, pojechać do Paryża na lat parę, aby tam we wszystkich gałęziach rzeźby i sztuki ceramicznej wykształcić się i nowemi nabytkami swej gorliwej pracy i talentu niwę ojczystą w przyszłości zbogacić.“

— Rafaela Kownacka, portrecistka, która utworami swojemi w tym kierunku dała się poznać w Wiedniu, założyła tam szkołę malarską dla kobiet.

— P. Michalina Stefanowska otrzymała stopień doktora nauk przyrodniczych na Uniwersytecie Genewskim.

— Paryżanka, M-me Le Roy, należąca do wyższych kół towarzystwa francuzkiego, kobieta już starsza, bo matka dorosłych dzieci, zaliczająca się do najsławniejszych podróżników tegoczesnych, bo zwiedziła już ruiny Palmiry, Heliopolis, Babilonu i Niniwy, oraz okolice, którym podanie przypisuje, że były miejscem, na którym wznosiła się Wieża Babel, puściła się w nową podróż. Udaje się do Persyi w mało znane okolice Ispahanu, zawsze z tym, co i poprzednio, celem poszukiwań archeologicznych, pod względem których ta okolica świata była mniej badaną. Szach perski w czasie bytności swej w Paryżu obiecał jej opiekę i pomoc wszelkiego rodzaju. Pani ta udała się w tę podróż ze starym służącym, kamerdynerem, który jej towarzyszy stale we wszystkich tych wyprawach dalekich, odbywanych po większej części sposobem karawanowym. Urządza sobie tę karawanę silna i odważna kobieta, skoro tylko inny sposób podróżowania przez pustynią staje się trudnym, bo potrzeba tu zabierać ze sobą zapas wszystkich przedmiotów służących do utrzymania życia.

— Siostra Marya Teresa, przełożona Siostr Miłosiernych w Tonkinie, bawiących tam przy armii francuzkiej, otrzymała krzyż Legii Honorowej, przyznany jej za długoletnią i ofiarniczą służbę na tem niebezpiecznem i ciężkiem dla kobiety stanowisku towarzyszenia wojsku francuzkiemu wszędzie, gdzie trzeba mu było rozwijać sztandar Francyi, lub walczyć za nią. Miała rok dwudziesty, gdy w czasie Wojny Krymskiej, została ugodzona kulą na polu bitwy pod Bałakławą, gdzie opatrywała rannych. Była również ranną pod Magenta, gdzie kula uderzyła schyloną nad konającym żołnierzem, który jej oddawał to, co pragnął, aby dostało się po nim w spadku rodzinie. Towarzyszyła armii francuzkiej na dalekich wyprawach zamorskich, była w Syryi, w Chinach, w Mexyku. W czasie nieszczęśliwej wojny francuzko-pruskiej znów rana rozdarła jej ciało pod Reichshofen gdzie ją znaleziono wśród stosu trupów grenadyerów. Raz, gdy granat wpadł do ambulansu, któremu przewodniczyła; ona bohatersko uchwyciła go i uniosła na znaczną odległość, gdzie rzucony pękł, rażąc ją niemal śmiertelnie. Czytelnicy naszego pisma przypominają sobie może tragiczny ten wypadek i łzy, które płynęły z oczu żołnierzy na widok straszliwie pokaleczonej kobiety. Gubernator Tonkinu, generał dowodzący tam wojskami francuzkiemi, wręczał jej teraz ten znak uznania bohaterskiej cnoty, według całej przepisanej na to formy wspaniałej. Trzy razy dotknął szpadą swoją ramienia klęczącej i rzekł:

„W imieniu narodu francuzkiego wręczam Ci ten Krzyż za okazane męztwo. Nikt nie zapracował sobie na niego heroiczniej, nikt z wyższą ofiarnością nie służył ojczyźnie i ziomkom. Żołnierze! sprezentujcie broń!“

Władze prawne francuzkie poszukują Julii Dernerot, kióra w r. 1876 wyjechała do Królestwa Polskiego jako nauczycielka. Najpierw przebywała w tym charakterze na pensyi p. Conradi. W 1881 pełniła takiż obowiązek w domu pp. Jundziłłów i, oddaliwszy się ztamtąd, przyjęła miejsce nauczycielki w Cesarstwie. Obecnie spadła na nią sukcessya po ciotce, wynosząca blizko dwa miliony franków.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 2-gi powieści pod tytułem **Barrington** przez Autorkę „Molly Bawn“.

TREŚĆ: Pogawęda. — Adjutant króla jegomości, opowiadanie z drugiej połowy zeszłego stulecia, napisał Mieczysław Krzywosąd-Kępieński. — List z Londynu. — Polemika, jeszcze pani Górecka. — Reszta puścizny po Słowackim, przez Stanisława Krzemińskiego. — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 2-gi powieści pod tytułem: Barrington, przez Autorkę Molly Bawn. — Przegląd mód. — 25 wzorów, ubiorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава 11 Октября 1889 года.